

Szanowny Panie,

rzadko zaglądam do internetu, dlatego dopiero teraz mogę odpowiedzieć na Pański felieton o mojej nieskromnej osobie, który, przyznaję, sprawił mi ogromną przyjemność, przynosząc ze sobą tak konieczne dla megalomana mojego pokroju *katharsis*. Cóż, nie jestem idealny – ale kto jest? Zgódźmy się więc z tym, że jestem potworem – to pojęcie zawiera w sobie ładunek na tyle negatywny, że zadowoli moich wszystkich wrogów. Niemniej, Pańska zawołowana teza, że pisarz (szerzej: artysta) nieznany za życia jest niejako *a priori* mierny, wydaje mi się pozbawiona podstaw, czego dowodzi historia, pełna nazwisk twórców swego czasu nieznanymi. Bo przecież nie doraźna popularność jest miarą sztuki, nie postawa etyczna artysty, nie jego koneksje, pochodzenie ani nawet nie jego – jakże niekiedy barwne – cechy charakteru. Nie one czynią artystę wielkim. Czyni to jego wyjście poza modne konwencje epoki, wiedza, warsztatowa sprawność, umiejętność nawiązania dialogu z poprzednikami i kilka innych cech, wśród nich ta najslabiej zdefiniowana, intuicyjna raczej, jaką jest talent. A Pan postanowił dać upust swoim frustracjom urażony moim stwierdzeniem, że nie jest Pan przystojny i męski, ale za to umie Pan pisać, tylko nie ma o czym, i że Pańska słynna pelisa jest po dziadku. Przyznaję, nie są to argumenty merytoryczne, co do przepięknej pelisy to nie znam jej pochodzenia, ale i rozmowa z Janem Siwmiem była dosyć swobodna, wielowątkowa, kpiarska i ironiczna, co niesie ze sobą dygresje, niekiedy godzące w próżność, w tym przypadku Pańską. A wiemy z psychologii, że im większa próżność, tym rana bardziej dotkliwa. Miał Pan, jak sądzę, zajęcia z psychologii? Czasem taką ranę leczy poczucie humoru. Jeśli go nie ma – to rzeczywiście, życie staje się trudniejsze. Przykro mi, ale w tej sprawie nie mogę Panu pomóc.

Postąpił Pan jednak nieładnie, nie po dżentelmeńsku, posługując się wyrwanymi z kontekstu zdaniem, zafałszowaniami, przemilczeniami i przeinaczeniami oraz innymi, typowymi dla propagandy pewnych przebrzmiałych formacji politycznych, zabiegami. Nie zadał Pan sobie trudu przeczytania moich książek i skonfrontowania ich treści z – przyznaję – entuzjastycznymi recenzjami. Pomiął Pan milczeniem zawarty w moich esejach i felietonach program artystyczny i stopień jego zgodności z uprawianą przeze mnie twórczością. Uniknął Pan merytorycznej, logicznej i filozoficznej kontroli moich tekstów, uciekając się do sztubackich wyglupów, które, jak wiemy, potrafią ośmieszyć wszystko. Podobnie w złym guście jest nieinformowanie mnie o Pańskiej publikacji, co uniemożliwiło mi odpowiedź we właściwym czasie i miejscu. Cóż, widać po dziadku została Panu tylko pelisa – kindersztubę diabli wzięli. Bo co innego facecje w luźnej rozmowie, a co innego publikacja w dziale książki (co Pański felieton ma wspólnego z recenzją KSIAŻKI?)

Jest Pan, w opinii niektórych, wielkim artystą wszechstronnym, polskim Leonardem, największym kolorowym balonem, planetą, ba, najjaśniejszą gwiazdą polskiego zaprzałego literackiego nieboskłonu, więc złość i jad Panu nie przystoją, tym bardziej nie przystoi nieelegancki atak *ad personam* przypuszczony na mnie z braku merytorycznych argumentów. Szczególnie on niesmaczny, bo sprowokowany błahostką, jednak przyznaję, tekst w sumie zabawny – chociaż nieuczciwy i zalatujący paszkwilem. Stąd moje mieszane uczucia, w których jednak kiełkuje nadzieja, że nareszcie mam godnego siebie przeciwnika – oczywiście, jeśli idzie o złośliwość, bo zasady dżentelmeńskiej walki powinien Pan sobie przyswoić. Rzecz jasna, jeśli uzna to Pan za konieczne – broń Boże, proszę nie łamać swojej natury.

Jak wspomniałem, Pański atak na mnie jest osobisty i nosi cechy pieniactwa, bowiem w całej długiej (25 str.) rozmowie z Janem Siwmiem poświęciliśmy Panu zaledwie dwa zdania. Rozumiem, że Pan i Towarzystwo uważacie, że tacy jak my powinniśmy jedynie płacić na Was podatki i siedzieć cicho, rozdziawiając gęby w niemym zachwycie, bo tacy jesteście wielcy – przecież mówią o Was w mediach, wydają Wam książki. Otóż te czasy, Panie Dehnel, się skończyły. To, kto jest naprawdę wielki, oceni historia, może co lepiej wykształceni czytelnicy, a

nie Komitet Centralny, Radiokomitet czy inni koledzy. Proszę wspomnieć te dzisiaj zapomniane, a niegdyś wynoszone nazwiska. Kto pozostał z dawnych nadmuchanych balonów? Kto zostanie z dzisiejszych? Ja nie mam tyle pychy, by stwierdzić, że wiem. Mogę jedynie przypuszczać.

Panie Dehnel, dał się Pan nabrać na moją pozorną w istocie megalomanię, spowodowaną tym, co dzieje się w dzisiejszej polskiej krytyce i literaturze – moja bufonada to tylko kopia z dystansem tego, co wyprawiają inni, ci znani i lubiani autorzy i ich apostołowie. Obnażył Pan za to megalomanię swoją, niestety prawdziwą. Czy uzasadnioną? Cóż, ponownie zostawmy głos historii.

Przy okazji, gorąco polecam Panu lekturę moich książek – nie tylko wstępów do nich. Bo może jednak zweryfikowałby Pan swoją, proszę wybaczyć, niemądrą tezę, że jedynie popularny pisarz to dobry pisarz. Bowiem jeśli to Pan ma rację, to, ach, aż się boję – te wszystkie Hölderliny i Schulze, Gombrowicze i Witkace, te zastępy za życia wyśmiewanych, niedocenianych i zwykle niewydawanych lub wydawanych późno i w niewielkim nakładzie pisarzy, są do dupy, a liczą się jedynie ci wydawani, medialni, nagradzani i wynoszeni przez siebie współczesnych krytyków, żerujący na stypendiach, tłumaczeniach, zagranicznych wożach, za pieniądze podatnika?

Właściwie mógłbym wzruszyć na ten Pański atak ramionami, gdyby nie jedna, jedyna rzecz – wzbudził Pan w czytelnikach swojego felietonu błędne przekonanie, że pogardzam takimi ludźmi, jak: Szekspir, Bach, Mozart, Mickiewicz, Słowacki, Witkacy, uważając ich za „pozytywnych grafomanów”. Nie napisał Pan, przez niegodziwość lub niezrozumienie, że **przez grafomanię, co wyjaśniam wyraźnie, rozumiem jedynie imperatyw pisania, który przynosi efekty pozytywne, doskonale, jak u wyżej wymienionych, którym oddaję cześć niemal boską, albo mierne, zgodnie ze słownikowym wyjaśnieniem terminu grafomania.**

*I last, but not least* – nie bardzo się zgadzam z Pańską samokrytyką. Określa się Pan bowiem słowem „matolek”, które, wydaje mi się, nie jest właściwe. Matolkiem może być uczeń podstawówki, ostatecznie gimnazjalista, ale człowiek po studiach zasługuje na epitet adekwatny do wykształcenia.

Kłaniam się,

Tomasz Sobieraj

**Odpowiedź na felieton Jacka Dehnela *Po prostu: Sobieraj*, książki.wp, wrzesień 2009.**